

Feministyczne Mondrości

17 czerwca 2010

Założenie państwa kobiet na wzór Izraela, likwidacja mężczyzn lub zesłanie ich do kamieniołomów, uznanie płodu za gatunek pasożyta oraz oskarżanie fizyki o seksistowskie teorie – to nie science-fiction ani absurdałna komedia.

W niniejszym artykule zaprezentuję złote myśli zaledwie kilku amerykańskich i europejskich feministek dotyczące zaledwie kilku wybranych tematów. Będą to feministki głównego nurtu, nie żaden feministyczny margines, którego przedstawicielki posuwają się jeszcze dalej niż panie tu zaprezentowane. Ponieważ jednak czytelnik ma prawo (a nawet obowiązek wobec własnego zdrowia psychicznego!) nie znać feminizmu, a przynajmniej nie na tyle, aby odróżniać, co pośród niego jest typowe a co marginalne, więc dla stworzenia skali oddającej stopień radykalizmu feministek zagranicznych, ich wypowiedzi, dla porównania, przytaczam pośród wypowiedzi znanych polskich feministek głównego nurtu. Niedorzeczność obu grup wypowiedzi jest podobna.

Tematami, o jakich złote myśli feministek zaprezentowane tutaj będą traktować, są: płciowa walka klasowa; gwałt, na punkcie którego panie te mają obsesję; nauka i jej osiągnięcia; penis, czyli inna fiksacja owego kobietonu; oraz mizoandria w postaci czystej.

KLASOWA WALKA PŁCIOWA

Zacznijmy od pisarki i poetki, Robin Morgan, która tak oto uzewnętrznia targające nią emocje: „Czuję, że nienawidzenie mężczyzn jest słusznym i godnym polecenia aktem politycznym, że opresjonowani mają prawo do klasowej nienawiści przeciw klasie, która ich opresjonuje” („Lesbijanizm i feminizm”, 1977, str. 178). Wtórzy jej pisarka, dziennikarka i wykładowca literatury angielskiej, Germaine Greer, która w

książce „Rewolucja” pisze: „Najpewniejszym sprawdzianem dla tego, czy obrona przez kobiety droga jest słuszną, jest radość walki klasowej. Rewolucja to festiwal opresjonowanych” a w książce „Kobiety i władza na Kubie” (1985, str. 271) dodaje: „W dwupokoleniowej rodzinie dziecko jest skonfrontowane z dwojgiem rodziców przeciwstawnych sobie pod względem płci. Tendencja do polaryzacji jest więc nieunikniona. Rodzina akcentuje posiadanie i wykluczenie”. Te dziwaczne sformułowania rodem z pism Lenina, w które w pierwszym wypadku dodatkowo owinięta jest odraza wobec mężczyzn, nie powinny dziwić. Wyjaśnia je wykładowczyni, prawniczka i nauczycielka, Catharine Alice MacKinnon: „Żaden feminizm warty tej nazwy nie może metodologicznie wykraczać poza marksizm” („Pożądanie i władza: feministyczna perspektywa”, 1983, str. 60).

W walce klasowej jeszcze dalej niż w przygotowywanie antymęskiego przewrotu oraz napuszczanie na siebie członków rodziny idą inne feministki. Pisarka, Valerie Solanas, głosi postulaty niczym z „Seksmisji”: „Obywatelsko nastawionym i odpowiedzialnym kobietom szukającym dreszczyku, a żyjącym w społeczeństwie, którego żaden aspekt nie jest odpowiedni dla kobiety, pozostaje jedynie obalić rząd, wyeliminować system pieniężny, wprowadzić całkowitą automatyzację [procesu rodzenia – dopisek mój] i wyniszczyć męską płć”. Wtórzy jej pisarka i nauczycielka (sic!) Sally Miller Gearhart: „Proporcja mężczyzn musi zostać zredukowana i utrzymana na poziomie w przybliżeniu 10% rasy ludzkiej” (jakkż dziwacznie w kontekście tej wypowiedzi brzmi humanistyczne wyrażenie „rasa ludzka”...). Ciekawe jak, przejawiając taką postawę, pani Gearhart jest w stanie pracować z połową (a wkrótce pewnie tylko 10%) swoich uczniów? Podobnie jak pani Gearhart, również Robin Morgan, w książce o wiele mówiącym tytule „Żegnajcie wszyscy” (1970, str. 126) postuluje: „Zakopmy na zawsze to kłamstwo: kłamstwo, że mężczyźni także są opresjonowani przez seksizm, kłamstwo, że może istnieć coś takiego, jak Ruch Wyzwolenia Mężczyzn. Kobiety nie są seksistkami – [za seksizm – dopisek mój] zabijajcie swoich ojców”. Pomijając wszystko,

poziom spójności tej wypowiedzi wprawia w konsternację, a pani Morgan, czająca się na swego ojca, to już, jako kobieta, w ogóle seksistą nie jest...

Inne feministki rozumieją jednak trudności, jakie wywołałoby wymordowanie wszystkich mężczyzn. Proponują więc bardziej realne sposoby prowadzenia walki klasowej. Dziennikarka i pisarka, Linga Grant pisze w artykule pod wiele mówiącym tytułem „Nie bierzcie jeńców” opublikowanym w największym brytyjskim dzienniku „The Guardian” (13 maj 2000): „Dochodzimy do tego, co proponowała Andrea Dworkin, mianowicie, żeby kobiety posiadały swoje własne państwo. (...) Powiedziałam jej, po co zawracać sobie tym głowę. To się nie stanie. Na co ona odparła: ‘nie mówiono tego samego o Izraelu’? Czyż świat nie uważał Theodora Herzla, założyciela ruchu Syjonistycznego, za dziwaka? Żydzi dostali własne państwo, ponieważ byli prześladowani, powiedzieli dość, zdecydowali, czego chcą i poszli o to walczyć. Kobiety powinny zrobić to samo. A jeżeli ktoś nie chce mieszkać w Womenlandzie [Krainie Kobiet – dopisek mój], to co? (...) I jak Żydzi walczyli o Izrael, tak kobiety mają prawo wykonać egzekucję, zgadza się, powiedziałam: wykonać egzekucję, na gwałcicielach [czyli wszystkich rządzących, których Dworkin uważała za odpowiedzialnych za istnienie gwałtów, o czym dalej – dopisek mój], a państwo nie powinno interweniować”.

Utworzenie państwa kobiet, najpierw podziemnego, które pozwoliłoby feministkom wymordować przedstawicieli obecnego państwa, a potem oficjalnego, które nie interweniowałoby, kiedy feministki miałyby ochotę dokonać linczu na kimkolwiek pomówionym przez nie o gwałt (a jak się zaraz przekonamy, gwałcicielami według feministek są wszyscy), również nie wydaje się zbyt realne. Feministki łagodzą więc swoje stanowisko. Mężczyzn nie da się wymordować, nie da się też usunąć ich z państwa, więc można by chociaż posyłać ich do kamieniołomów. Germaine Greer pisze: „Jedynym miejscem, które zabezpiecza mężczyzn, jest maksymalnie strzeżone więzienie, z

wyjątkiem groźby zwolnienia ich". A wsadzić mężczyzn do więzienia najłatwiej pod pozorem gwałtu, nawet gdy wiadomo, że nie został on popełniony: „mężczyzna, który został niesprawiedliwie obwiniony o gwałt, może zyskać na tym doświadczeniu”, pisze Catherine Comins.

A jeżeli nawet nie da się pozamykać mężczyzn w więzieniach, to zawsze można wykorzystać wielki biznes do promowania swojej dyktatury. Nasza rodzima feministka o niemal męskim imieniu, pani Szczuka, w „Slajdzie – magazynie młodej kultury” (nr 38, luty 2009) narzeka jednak na nieudolność feministek w tym względzie: „feministki, w odróżnieniu od ekologów, nie mogą dogadać się z jakimś dużym biznesem, który da nam pieniądze na naszą działalność, a my w zamian będziemy głosić idee, które będą rozkręcały biznes. Poza producentami prezerwatyw albo pigułek antykoncepcyjnych”. Nie potrafiąc nachapać się, dogadując z wielkim biznesem, feministki korzyści materialne próbują czerpać przy pomocy lobbingu politycznego. „Trzeba zreformować państwo, żeby były środki na to, by kobiety [tj. feministyczny establishment – dopisek mój] wprowadzić do gospodarki oraz zapewnić im zabezpieczenie [tj. gwarancje – dopisek mój] ekonomiczne i prawne”, pisze Gretkowska w „Tomie kultury” (nr 17, Empik, 2007). A ponieważ do niedawna partie w Polsce pozostawały względnie (w porównaniu z Zachodem czy Skandynawią) niemrawe w realizowaniu interesów feministycznych oficjek, cztery lata temu postanowiły one założyć partię, na którą mogłyby głosować... wszystkie feministki. Partia Ekshibicjonistek, bo o niej mowa, posiada poparcie w granicach 0,5%, co odpowiada liczbie feministek w naszym kraju. Nic jednak dziwnego, że balansuje ono na granicy błędu statystycznego, skoro na konferencji prasowej z okazji założenia tej partii jej założycielka i liderka szczerze wyznała: „Partia Kobiet zapewne nie uzyska większości, żeby przejąć władzę. Zresztą nie powinna o to zabiegać”. Pytanie tylko, czy tymi słowami Gretkowska chciała dać wyraz swemu głębokiemu przekonaniu o nieudolności politycznej kobiet, czy bezpardonowo wyznać, że wykorzystuje naiwne smarkule z

partyjnymi legitymacjami do promowania swojej osoby i rozkręcania sprzedaży własnych książek?

Rozważania nad stosunkiem feministek do walki klasowo-płciowej zakończmy także inteligentnym stwierdzeniem Catharine A. MacKinnon („Siostra Francisa Biddle-a: Pornografia, prawa obywatelskie i wolność słowa”, 1984, str. 193): „Jesteśmy obnażone z autorytetu, zredukowane, zdewaluowane i uciszane. Uciszenie znaczy tu, że cele pierwszej poprawki [do konstytucji USA – dopisek mój], ustanowionej dla ochrony wolności słowa, nie są realizowane w stosunku do kobiety. Nawet jeśli może ona formułować słowa, kto słucha kobiety z penise w ustach?”. Zdaniem pani MacKinnon, pornografia gwałci (chyba dosłownie...?) prawo kobiety do wolnego wypowiadania się, ponieważ z penise w ustach nie da się mówić... Niewątpliwie pani MacKinnon skorzystałaby na jak najczęstszym uprawianiu miłości oralnej, aby jak najrzadziej się wypowiadać, uzewnętrzniając swoje obłąkańcze myśli...

Skoro już jesteśmy przy seksie, przejdźmy do kolejnego z najbardziej ulubionych przez feministki tematów: gwałtu i pornografii, która zdaniem większości feministek, jest z nim równoznaczna.

GWAŁT I PORNOGRAFIA

Na początek pokażmy, że zdaniem feministek gwałt i pornografia to jedno i to samo. Ponieważ przedstawienie tu, nawet wrywkowe, wypowiedzi Andrei Dworkin, która pośród feministek jest tą najbardziej zafiksowaną na łączeniu gwałtu z pornografią, wielokrotnie przekroczyłoby ramy niniejszego artykułu, nawet gdyby nie dotyczył on poza tym niczego innego, więc ograniczymy się do prezentacji złotej myśli innej feministki na temat związku gwałtu z pornografią. Robin Morgan w pracy pod wiele mówiącym tytułem „Teoria i praktyka: pornografia i gwałt” (1974) uściśla to, co zawarła już w tytule tej pracy: „Pornografia jest teorią a gwałt jest praktyką. A czym jest praktyka. Napaść na pojedynczą kobietę

postaci materialnej i niematerialnej, „od bukietów, czekoladek i prezentów, przez szarmanckość i usługowość, po poezję i rozpaczliwe deklaracje miłości”.

Większość feministek ma wyraźny problem z seksem i dlatego to ten przejaw życia uznają one za aspekt, którego patriarchy miałyby używać jako sposobu podporządkowywania sobie kobiet. Susan Brownmiller pisze: „Gwałt nie jest niczym więcej niż świadomym procesem zastraszania, poprzez który wszyscy mężczyźni utrzymują wszystkie kobiety w stanie grozy”. Mimo że Brownmiller ograniczyła swoją „złotą myśl” do gwałtu, nie chodzi tu wyłącznie o gwałty, lecz o wszystkie stosunki seksualne, o czym świadczą kolejne cytaty Catharine Alice MacKinnon: „Każdy stosunek seksualny, nawet dobrowolny stosunek w ramach związku małżeńskiego, jest aktem przemocy popełnianym przeciw kobiecie” i „W patriarchalnym społeczeństwie wszystkie heteroseksualne stosunki stanowią gwałt, ponieważ kobiety, jako grupa, nie są wystarczająco silne, żeby dać świadome, znaczące przyzwolenie na stosunek”. Ponieważ MacKinnon („Przeciw gwałtom naprawdę”, 1981, str. 82) uważa każdy stosunek seksualny za przejaw spiskowej polityki mężczyzn, nic dziwnego, że jej zdaniem: „Politycznie, mówię o gwałcie zawsze, gdy kobieta uprawiała seks i czuje się pokrzywdzona”. Panowie, pamiętajcie dzwonić na drugi dzień, bo jeszcze wasza partnerka „poczucie się pokrzywdzona” i zostaniecie gwałtcicielami!

Innym sposobem, jakiego patriarchy miałyby używać do ciężenia kobiet, miało być faszerowanie pań narkotykami. Germaine Greer twierdzi: „Możemy trzymać kobiety na Prozaku, a one będą uważały, że są szczęśliwe, nawet pomimo tego, że nie są. Zmartwione zwierzęta w zoo też otrzymują Prozak, co wskazuje, że niedola jest raczej odpowiedzią na nieznośne okoliczności niż samoistna” („Cierpienie”, str. 183). Panie, uważajcie, co mężowie dosypują wam do napojów, okazuje się, że patriarchalny spisek trzyma was wszystkie na Prozaku! Pani Greer kontynuuje: „Jak odpowiadasz na pytanie, czy jednostki

powinny być zmuszane, żeby wieść całe swoje życie w stanie uzależnienia chemicznego, najpierw na sterydach a potem na terapii zastępczej. Jeżeli mężczyzna nie żyłby w ten sposób, dlaczegożby kobieta by miała?" („Estrogen”, str. 160).

Czy to, że feministki tak protestują przeciw pornografii, oznacza, że brzydzą się tego typu zjawiskiem? A może jak zwykle zazdroszczą mężczyznom czegoś, czego same nie mają a co mieć by chciały? Robin Morgan (w „Polityce sadomasochistycznych fantazji”, str. 235) pisze: „Nikommu nie przyszło do głowy zastanawiać się, czy to rozprzestrzenienie się sadomasochizmu [wśród lesbijek – dopisek mój] było lesbijską kopią pedalskiej imitacji patriarchalnego sprzeciwu wobec feminizmu” (zwróćmy przy okazji uwagę, że po raz kolejny feministki uznają parafilię seksualną jaką jest sadyzm, za wyraz jakichś spiskowych antyfeministycznych działań politycznych) . A największa „przeciwniczka” pornografii, Andrea Dworkin, wyznaje: „Chciałabym zobaczyć mężczyznę pobitego na krwawą miazgę z wysokim obcasem wciśniętym w jego gębę, jak jabłko w pysk świni”.

Opuśćmy już może śliski grunt feministycznych dewiacji i nie mnożmy cytatów na ten temat, których nie sposób zliczyć; a zamiast tego zajmijmy się tematem o wiele bardziej ścisłym, nauką, a konkretnie fizyką.

FEMINISTKI A NAUKA

Zapewne rzuciło Ci się w oczy, drogi Czytelniku, że wszystkie z dotychczas cytowanych femin były bądź grafomankami, bądź pismaczkami, bądź badaczkami „płci kulturowej”, czyli biurokratkami zatrudnionymi na posadach w specjalnie dla nich zakładanych instytutach „gender studies”. Już to powinno zrodzić w Tobie obawę, co do kompetencji owych pań w dziedzinie nauki, zwłaszcza fizyki. Nie dziw się zatem, że panie te naukę mają za nic, uznając jej odkrycia za czysto subiektywne zjawiska kulturowe, które miałyby zupełnie inne wyniki, gdyby przeprowadzał je kto inny (tj. kobiety,

zwłaszcza same feministki).

Zacznijmy od znanej nam już Robin Morgan. Uważa ona, że: „Nie posiadamy jeszcze nauki wolnej od wartościowania, nie znajdującej się pod presją maskulinistycznych (oraz innych) uprzedzeń. (...) Jestem głęboko przekonana do konsensusu w sprawie takiej teorii patriarchalnej historii, którą my feministki nazwałyśmy ‘ostrym krańcowym zatruciem testosteronem’ („Demoniczny kochanek: na temat seksualności terroryzmu”, 1989). Wyjaśniając zawiłą wypowiedź pani Morgan: stwierdziła ona, że nie tylko uważa całą historię za dzieje walki kobiet przeciw patriarchy, ale wręcz jest zwolenniczką mniemania (co do którego miałby panować konsensus!), jakoby ciemienie to było spowodowane skrzywieniem wyników badań naukowych przez uczonych, których, jako mężczyzn, zatrzał testosteron.

Wyjątkowe bzdury plotą feministki w dziedzinie fizyki. Doktor filozofii, Sandra Harding, uważa, że „Straszliwe metafory mechaniki Newtona zagrażają kobietom. Badania przyrody za model mają gwałt i tortury – brutalny, mizoginiczny stosunek mężczyzn do kobiet – ten właśnie model świadczyć ma o wartości nauki. (...) Skoro naturę zaczyna się traktować raczej jak kobietę, którą należy gwałcić i torturować, a nie jak karmiącą matkę, to czyż gwałt i tortury nie stają się tym samym naturalnym stosunkiem mężczyzn wobec kobiet. Uczciwiej byłoby mówić o prawach Newtona nie jako o mechanice, lecz jako o newtonowskim podręczniku gwałtu” („Kwestia nauki w feminizmie”). Nie lepiej od mechaniki pocziwego Newtona feministki potraktowały nowszą teorię względności Einsteina. Filozofka i psychoanalityczka, Luce Irigaray jest przekonana, że $E=mc^2$ miałoby być równaniem „typowo męskim”, ponieważ „uprzywilejowuje ono prędkość światła (c) nad wszystkimi innymi prędkościami, które są dla nas [kobiet – dopisek mój] równie ważne”. Pani Irigaray za swe odkrycie z pewnością otrzyma Nagrodę Nobla, w dziedzinie... gender studies...

Sporo obnażonego feministycznego bełkotu na temat nauki można

znaleźć w słynnej książce „Modne bzdury”. Jest to praca Alana Sokała, autora prowokacji, w ramach której celowo zamieścił on w renomowanym postmodernistycznym piśmie poświęconym studiom kulturowym nie trzymający się kupy teks na temat fizyki, w którym „zdekonstruował” tę naukę, uznając ją za zjawisko zmienne społecznie, kulturowo i historycznie (m.in. głosił, że liczba „pi” historycznie zmienia swoją wartość – że kiedyś była mniejsza).

Żeby (dosłownie) płynnie przejść od fizyki do następnej fiksacji feministek, tj. do pręcia, odwołajmy się jeszcze raz do Luce Irigaray. Uważa ona, że zapóźnienie mechaniki płynów, czyli hydrodynamiki, względem mechaniki brył sztywnych, wynika nie z różnic w komplikacji matematycznych opisów obu dziedzin rzeczywistości, lecz z faktu, że większość fizyków jest mężczyznami i ma obsesję na punkcie sztywności pewnej części swego ciała...

FIKSACJA NA CZŁONKU

W różnych językach indoeuropejskich określenia członka używane są jako jedno z najostrzejszych przekleństw. Nie inaczej jest w polskim czy w angielskim. Już samo używanie jakichkolwiek, zwłaszcza tak ostrych, przekleństw w debacie publicznej świadczy o degrengoladzie stanowiska, które jest przy ich pomocy bronił. Jednak częstotliwość odwoływania się przez feministki do penisa nie tylko przekracza granice dobrego smaku ale wręcz wkracza w obszar obsesji (czyżby Freud miał rację, na temat zazdrości o penisa?).

I tak, zdaniem Valerie Solanas „Nazwać mężczyznę zwierzęciem, to schlebiać mu, on jest maszyną, chodzącym fjutem”. Z kolei Germaine Greer uważa, że: „Chrystus został wykastrowany i to jest sedno sprawy. Widzicie, nie ma niczego niebezpiecznego w wypuszczeniu woła na pole, gdy już obetniecie mu jaja” (z wywiadu dla „Playboya”). Nasza rodzima przewodnicząca Siły Przewodniej Połowy Narodu, czyli Partii Ekshibicjonistek, swoimi wypowiedziami na temat penisa sama mogłaby zająć cały

niniejszy rozdział. Okazuje się, że znajomość przez Gretkowską płci przeciwnej załatuje nieuctwem: „Mężczyzna to nieskomplikowane urządzenie – ma tylko jedną dźwignię”. Tylko trochę szkoda ewentualnego partnera Gretkowskiej (choć, o ile posiada ona takowego, to jest on sam sobie winien), skoro Gretkowska nie zna żadnych innych „pokręteł czy przycisków” mężczyzny i od początku do końca pracuje wyłącznie na owej jednej dźwigni.

Jednak może właśnie z tego jej dyletanctwa wynika owa fascynacja członkiem. „Chuj w erekcji to jedyny pion moralny faceta” pisze ona w „Namiętniku”, tak jakby męskie dążenia seksualne należały do pobudek moralnych i jako takie mogły być przedmiotem ironii, jakoby były jedynymi pobudkami moralnymi mężczyzn.

Tak, jak w temacie gwałtu, tak w temacie penisa, wypowiedzi feministek uwidaczniają problemy z seksualnością, przez jakie te panie przechodzą. Germaine Greer najpierw narzeka „Pomimo słusznego promowania prezerwatyw w czasopiśmie dla dziewcząt, obecność penisa w pochwie częściej skutkuje ciążą lub zarażeniem [HIV – dopisek mój] niż orgazmem” (Girlpower str. 332). Potem jednak zarzeka się, że: „Przyjemność kobiety nie jest zależna od obecności penisa w pochwie” („Aborcja”, str. 95). Cóż, przyjemność feministek nie ma jak od tego zależeć...

Pomimo, że feministki same używają synonimów słowa „penis” jako wyzwiska, jednocześnie na funkcjonowanie w języku znacznie mniej powszechnie używanego wyzwiska odwołującego się do części ciała kobiety reagują nerwowo. Germaine Greer w „Z nienawiścią na temat mężczyzny” (str. 287) pisze: „oni ciągle używają słowa ‘cipa’ jako najbardziej poniżającego epitetu występującego w naszym języku”.

MIZOANDRIA

Już dotychczasowe wypowiedzi feministek, pełne pogardy dla męskich hormonów i części ciała, sprowadzające mężczyzn do

roli seksualnej lub prokreacyjnej oraz zachęcające do uzewnętrzniania nienawiści wobec nich, były wystarczającym świadectwem tego, że feministki cierpią na autentyczne zaburzenia psychiczne zwane mizoandrią. Bowiem w przeciwieństwie do tzw. homofobii czy mizoginii, którymi to terminami etykietowane są postawy sprzeciwu wobec ideologii gejowskiej bądź feminizmowi, ich postawy nie są jedynie wyrazem sprzeciwu politycznego, lecz autentycznej pogardy i odrazy wobec tego co męskie.

I tak, Valerie Solanas pisze: „Każdy mężczyzna, w głębi duszy, wie, że jest bezwartościowym kawałkiem gówna”. Inna jej wypowiedź, w połączeniu z powyższą, ukazuje kolejną fiksację tej pani, tym razem na odchodach: „Mężczyzna posiada odwrotny dotyk Midasa [króla, który wszystko, co dotknął, zamieniał w złoto – dopisek mój], wszystko czego dotknie obraca się w gówno... pożąda próżniactwa... pogrążając się w swoich pierwotnych zwierzęcych instynktach – jedzeniu, spaniu, sraniu, odpoczywaniu i byciu stukniętym przez mamuszkę”.

Natomiast Gloria Steinem porusza temat tego elementu męskości, który z awersją, nie tylko ze strony feministek, spotyka się najczęściej: testosteronu (vide: pewna piosenka o tym tytule). Pisze ona: „Jeżeli przypuszcza się, że kobiety są mniej racjonalne i bardziej emocjonalne na początku cyklu menstruacyjnego, kiedy kobiece hormony są na najniższym poziomie, to dlaczego nie miałyby być logicznym powiedzeniem, że podczas tych kilku dni kobiety zachowują się w taki sposób, w jaki mężczyźni zachowują się przez cały miesiąc?”.

Valerie Solanas do pogardy wobec męskiej anatomii i fizjologii dodaje jeszcze pogardę wobec męskiej genetyki: „Męskie chromosomy są niedorobione. Wszyscy mężczyźni są chodzącymi skrobankami niedokonanymi w odpowiednim momencie”. Gwoli wyjaśnienia, mężczyźni posiadają na chromosomie X wszystkie te same geny co kobiety na ich chromosomie X (choć w jednym a nie dwu egzemplarzach), posiadają jednak dodatkowo również chromosom Y. Jeżeli więc ktoś miałby tu być, zgodnie z błędnym

rozumowaniem samej Solanas, niekompletny, to byłyby to kobiety.

Wstręt wobec mężczyzn jest problemem na tyle ważkim, żeby nawet Partia Ekshibicjonistek zajmowała się nim na swoim zjeździe (listopad 2009). Jej przewodnicząca wygłosiła na nim referat o tytule „Polska tak naprawdę to zapijaczony, nieudolny facet z depresją”, mimo że jeszcze dwa lata wcześniej w superlatywach mówiła o naszym kraju jako o kobiecie.

Mimo zaprezentowanej powyżej odrazy wobec mężczyzn, feministki, uważają, że to kobiety są darzone awersją. Jedna z cytowanych w tym rozdziale, Germaine Greer, pisze w „Dziwaczne łono” (str. 57): „Jeżeli uważacie, że jesteście wyemancypowane, możecie rozważyć pomysł przetestowania swojej krwi menstrualnej, jeżeli brzydzicie się, jeszcze długa droga przed wami, dziecińki”. Cóż, najwyraźniej przede mną również długa droga do wyzbycia się „mojej mizoandrii”, gdyż niechętnie bym ejakulował sobie na rękę... Chyba jestem też mizantropem brzydzącym się tego, co ludzkie, bowiem jak na razie niezbyt chętnie załatwiłbym się sobie na rękę (zarówno większą jak i mniejszą potrzebę) ani nawet na nią pluł.

INNE

Feministki czasem nie oszczędzają też kobiet. „Kobiety w ciąży zyskują na wadze i tracą rozum” pisze w „Namiętniku” Gretkowska.

Konkretną kobietę, niepełnosprawną dziewczynką, Madzię Buczek, obrażała w wywiadzie dla Kuby Wojewódzkiego (26 lutego 2006) Kazimiera Szczuka. Oto jej pokrętnie tłumaczenie swojego zachowania „Ja mówiłam o jakimś wielkim swoim uznaniu i fascynacji tą osobą. (...) Nie było tam natomiast cienia mowy o tym, że ta osoba jest niepełnosprawna, włącznie z tym, że ja na początku programu powiedziałam, że nie wiem, kto to jest”; i oryginalna wypowiedź: „Ja tam mam taką swoją jakąś..., (...) to jest jakby taka stara dziewczynka. (...) i ona mówi takim...”

Nie wiem, czy oryginalna wypowiedź, zadaje kłam późniejszym pokrętnym wytłumaczeniom Szczuki, ale prawdopodobieństwa takiej interpretacji dodaje fakt, że po Szczuce można spodziewać się braku dobrego smaku. Oto jeden z jej dowcipów: „Umarł pedofil i idzie do Nieba, no i tam stoi ten Święty Piotr i mówi: „A Ty gdzie zwyrołu, tutaj takich jak Ty się w ogóle nie wpuszcza”, a pedofil mówi: „Ale Ja nie do Ciebie dziadu, Ja do Dzieciątka Jezus” (żart opowiedziany przez Szczukę na wizji w programie „Czułe dranie” emitowanym w TV 4).

Wypowiedź ta znamionuje zresztą szerszą niechęć feministek do Kościoła katolickiego, najbardziej kobiecej instytucji na świecie (73% praktykujących raz w tygodniu i 89% praktykujących codziennie, to kobiety, wśród nastolatków dziewczęta to 62% praktykujących w każdą niedzielę). Przejawia się ona między innymi w nonsensownej tezie feministek, jakoby chrześcijański Bóg był mężczyzną, i ich postulatach, zgodnie z którymi jest On(a) kobietą – cokolwiek miałoby to znaczyć; w krytyce formułowanej przez Towarzystwo Teologów Włoskich, które, używając nazistowskich sformułowań, zarzuca kościołowi zbyt małe zainteresowanie „kwestią kobiecą” (Marinella Perroni, „Nie ceruję biskupich skarpet”, w Polityka nr 24/2010); a także w takich pretensjach, jak poniższy wygłup Magdaleny Środy: „Żyjemy w kraju, gdzie ksiądz pojawia się wcześniej niż karetka pogotowia”. Niestety zaprezentowanie całej nienawiści feministek, choćby tylko polskich, wobec religii nie tylko przekracza ramy tego artykułu ale przekroczyłoby też ramy kilku tomów książek. Zakładam jednak, że jest ona aż za dobrze znana i nie ma sensu jeszcze jej tutaj powielać.

PODSUMOWUJĄC

„Kontakt nie jest możliwy wszędzie tam, gdzie zdrowy rozum zaślepia fanatyczna ideologia”, jak paradoksalnie pisze Gretkowska. Feministek nie należy tłumaczyć, tak jak nie należy tłumaczyć nazistów, tylko trzeba się przed nimi bronić.

Jeżeli ktoś do tej pory uważał feministki za co prawda dziwaczki ale jednak nieszkodliwe, po prostu dał się zwieść feministycznej strategii robienia z siebie ofiar. Gdyby Hitler wpadł na pomysł wykończenia Żydów poprzez przedstawienie Niemców jako ofiar żydowskiej dyskryminacji, do dzisiaj żaden Żyd nawet nie narzekałby na to, że zginie w komorze gazowej. Naziści jednak pod względem pomysłowości nie dorównywali feministkom, więc walili prosto z mostu, co jest ich zbrodniczym celem. Feministki natomiast oficjalnie zgrywają ofiary globalnej opresji, gdy tymczasem w ich literaturze pełno jest pomysłów wybijania mężczyzn, obalania rządów oraz tworzenia państw tylko dla kobiet. Już teraz istnieją lesbijskie komuny, do których „mężczyznom i psom wstęp wzbroniony”, do których nie wolno wprowadzać nawet niemowląt płci męskiej.

Gdyby jakiś polityk, dziennikarz czy artysta odważył się powiedzieć rzecz oczywistą, że w Chinach, od 32 lat prowadzących politykę jednego dziecka, opłacałoby się „zredukować” liczbę kobiet do 1/3 i każdej z nich kazać rodzić zamiast jednego dziecka dwójkę; że ilość dzieci przypadających na dorosłego byłaby wtedy taka sama jak teraz, ale siła robocza Państwa Środka byłaby większa, bo robotnicy produkują wydajniej niż robotnice; to taki polityk, który wyraziłby takie zdanie, (słusznie) zostałby zmieszany z błotem za zapędy ludobójcze. Tymczasem Panie Valerie Solanas, Sally Miller Gearhart, Robin Morgan i Andrea Dworkin nie niepokozone przez nikogo nawołują do tego typu zbrodni i nikt nie ma nic przeciwko, gdyż „wiadomo”, że to one są ciemnione, jakże więc mogłyby same ciemnić.

Spośród kilkunastu feministek, których dotyczył niniejszy tekst, jedynie pani Andrea Dworkin uznawana jest za przedstawicielkę nurtu radykalnego. Jednak nawet ona, radykała, jest autorką wielu ustaw dotyczących cenzury i obyczajowości, obowiązujących w kilku amerykańskich stanach. Widzimy więc, że nie są to postacie marginalne, a Andrea

Dworkin, mająca taki wpływ na amerykańską legislację, wcale nie musiała być tak daleko od wywalczenia feministkom Państwa Kobiet, czy chociaż Autonomii Kobiet lub Stanu Kobiet, jak by nam się mogło tutaj wydawać.

Nie należy więc przechodzić nad niniejszym tekstem obojętnie, ani tym bardziej oponować przeciw niemu (choć wiem, że i taki element się znajdzie, który w komentarzach lub ocenach jawnie poprze ludobójstwo). Należy zwyczajnie się bronić, zamiast wstydzić, że sprzeciw przeciw „redukcji mężczyzn do 10% populacji” zostanie odebrany jako przejaw „lekceważenia praw kobiet”.

Autorstwo: Redakcja www.maskulizm.pl

Źródło: [iThink](#)